

Kapitalizm na prochach

26 września 2018

Wolnorynkowy kapitalizm zjada własny ogon na wiele różnych sposobów. Najbardziej oczywistym z nich jest dążenie do ograniczania wszystkich kosztów, z kosztami pracy włącznie. Prowadzi to do bariery popytowej, a w rezultacie do załamania produkcji i do kryzysu. Innym sposobem pochłaniania własnej tylnej części ciała przez kapitalizm jest wpędzanie ludzi w choroby psychiczne. Wolnorynkowa koncepcja człowieka, dominująca wciąż na świecie, pomimo postępów ekonomii behawioralnej, która ją setki razy obaliła, patrzy na istotę ludzką jak na przedsiębiorstwo. Każdy jest swoją firmą, odpowiedzialną za własną markę, akumulację własnych kapitałów i ekspansję swojej działalności. Człowiek jest w pełni odpowiedzialny za swój los, a jeśli mu nie wychodzi, to pretensje może mieć do siebie – tak jak akcjonariusze upadającej spółki do jej zarządu.

Żeby stanąć na wysokości tego wymagającego zadania, jakim jest koncepcja człowieka-firmy, osoba ludzka musi być w nieustannej gotowości do wykorzystywania okazji. Skupienie i pełna gotowość bojowa o każdej porze i w każdej sytuacji to atrybuty modelowego człowieka-firmy. Taka osoba nie może sobie pozwolić na chwile słabości, cały czas musi brać sprawy we własne ręce, by sytuacja nie wymknęła się jej spod kontroli. Problem w tym, że wolnorynkowy kapitalizm masowo wpędza ludzi w depresje czy zaburzenia lękowe uogólnione, w wyniku których o jakimkolwiek panowaniu nad własnym losem nie może być mowy.

Mężczyzna zanurzony we własnych lękach nie jest w stanie racjonalnie oceniać sytuacji, a kobieta pochłonięta przez depresję nie potrafi się zmobilizować do ciągłej walki o rynkową wartość akcji swojej firmy osobistej. Współczesny kapitalizm proponuje więc pewien idealny model człowieka, jednak równocześnie produkuje zastępy ludzi, którzy są od tego modelu najdalej, jak to możliwe.

Człowiek-firma w akcji

Można wyróżnić trzy sposoby, którymi wolnorynkowy kapitalizm wpędza ludzi w choroby psychiczne. Pierwszym jest generowanie absurdalnych oczekiwań. Wszechobecne reklamy pokazują świat, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Piękni i młodzi modele czy gwiazdy ekranu, którym wszystko się udaje, stają się tłem, do którego porównujemy własną osobę i swoich bliskich. Reklamy generują również modele konsumpcji, do których powinniśmy zmierzać. Nowsze i większe auta, coraz lepiej wyposażone mieszkania położone w prestiżowych lokalizacjach, dalekie egzotyczne podróże – skoro atakuje nas to codziennie z ekranów i billboardów, to przyjmujemy za oczywistość, że to rzeczywistość większości społeczeństwa. Szybko jednak okazuje się, że zdecydowana większość atrakcji oferowanych nam przez kapitalizm jest poza naszym zasięgiem. Żona nie jest tak piękna jak wyfotoszopowane modelki z reklam, mąż ma brzuszek i poci się. Zamiast beztróskiego safari w Kenii jest z trudem sfinansowany zwykły wypad do Chorwacji, na który oszczędzamy przez cały rok.

Koncepcja człowieka-firmy podpowiada nam, że jeśli nasz osobisty świat nie jest tak udany, jak marzyliśmy, to odpowiadamy za to sami. I możemy mieć pretensje tylko do siebie. Coś więc jest nie tak przede wszystkim z nami samymi. Oczywiście racjonalny homo economicus powinien na to spojrzeć z dystansu i chłodno – jeśli jeszcze nie doszedłem do zamierzonego celu, to muszę po prostu zakasać rękawy, zamiast bezproduktywnie biadolić. W końcu mędrzec Jordan Peterson radzi, by nie porównywać się z innymi, lecz z samym sobą z przeszłości. Problem w tym, że człowiek nie jest w pełni racjonalny i nigdy nie będzie.

Rozbuchane modele konsumpcji uderzają w psychikę klasy średniej. Klasy niższe cierpią przede wszystkim z powodu braku stabilności. Praca stała się mniej pewna niż kiedyś, zapomnieć możemy o zatrudnieniu w jednym miejscu do końca aktywności

zawodowej. Co gorsza, destrukcji ulegają też sieci zabezpieczenia społecznego. Obecnie najsprawniej działającym rodzajem zabezpieczenia przed nagłą sytuacją jest instytucja kredytu – problem w tym, że kredyt trzeba spłacić. A prywatne instytucje, ściągając swoje długi, nie są zbyt wyrozumiałe – człowiek zalegający z ratą to dla nich nie obywatel, który wpadł w kłopoty, lecz dłużnik, od którego trzeba wyegzekwować własne aktywa. Zamiast solidnej sieci wsparcia, rządy oferują obywatelom tani kredyt dzięki niskim stopom procentowym, co wielu przedstawicieli niższych klas pracujących wpędza w spiralę zadłużenia. To wszystko w sytuacji coraz bardziej niestabilnego rynku pracy, zmieniającego się jak w kalejdoskopie.

Nie ma nic bardziej stresującego, niż jątrzące się w głowie pytanie, czy będę miał za co utrzymać rodzinę. Nie ma bardziej depresyjnej sytuacji, niż możliwość stracenia mieszkania, na które wraz z małżonką harowaliśmy jak woły. A na horyzoncie zamiast przyzwoitego mieszkania komunalnego jawi się mała nora wynajmowana za horrendalne pieniądze od prywatnego mieszkarniczka. Takie sytuacje podbramkowe odbijają się na psychice człowieka na zawsze, nawet jeśli tym razem wszystko skończy się dobrze. Bo następnym razem, gdy tylko podobna sytuacja zamajaczy gdzieś w oddali, panika powróci, nawet jeśli nie będzie w pełni uzasadniona.

Klasy wyższe i wyższa klasa średnia cierpią zaś z powodu nieustannej konkurencji. Na opisanych przez Roberta Franka i Philippa Cooka „rynkach, na których zwycięzca bierze wszystko”, trzeba nieustająco udowadniać swoją przewagę. To właśnie na tych rynkach najwyraźniej realizuje się koncept człowieka-firmy. Gdy zdecydowaną większość fruktów zbiera garstka zwycięzców, na pozostałych ludzi z branży patrzy się przede wszystkim jak na wrogów, którzy chcą nam odebrać zasoby kapitału i prestiżu. Naturalną postawą staje się nieufność, za to brak zaufania do innych rekompensuje nam rozbuchane zaufanie do siebie – czyli wybujałe ego. Nieufność i wybujałe

ego to również gotowy przepis na problemy psychiczne.

Oczywiście poczucie konkurencji o zasoby istnieje także wśród klas niższych. Wiąże się ono w mniejszym stopniu z rywalizacją o prestiż, a w większym z rywalizacją o środki do życia. Może być jednak równie destrukcyjne dla psychiki. Nieustanna konkurencja na wszystkich szczeblach drabiny społecznej osłabia zaufanie do pozostałych członków wspólnoty, za to wzmacnia poczucie wykorzenienia. Człowiek-firma jest pozostawiony sam sobie i otoczony przez wrogów. Trudno w takiej sytuacji się nie załamać.

Niech jedzą psychotropy!

W takiej sytuacji trudno się dziwić gigantycznemu wzrostowi popularności środków antydepresyjnych. OECD raportuje bardzo duży wzrost stosowania antydepresantów w okresie 2000-2015 we wszystkich 29 wykazanych krajach. Co gorsza, wzrost ten nie tylko dotyczy wszystkich, ale wszędzie jest też ogromny, czasem wręcz trzykrotny. W ciągu 15 lat wydarzyła się bez mała lekowa rewolucja w społeczeństwach rozwiniętych. Wskaźnik przyjmowania leków antydepresyjnych wykazuje się liczbą przyjmowanych dziennych dawek leków na tysiąc mieszkańców dziennie. Wzrost ten jest szczególnie widoczny w krajach południa strefy euro, w które silnie uderzył kryzys gospodarczy zakończony eksplozją bezrobocia. W Hiszpanii wskaźnik przyjmowania antydepresantów skoczył z 28,2 do 73,1. Hiszpania w ten sposób wskoczyła do czołówki krajów OECD pod względem spożycia antydepresantów. W Grecji i Włoszech tradycyjnie ten wskaźnik był na bardzo niskim poziomie – w końcu słońca mają tam pod dostatkiem. Obecnie jednak zbliża się już do średniej OECD – w Grecji skoczył z poziomu 18,9 do 48,1, a we Włoszech z 19,6 do 46,5. I tak wszystkich jednak przebiła Portugalia – tam wskaźnik wzrósł z 32,5 do 95,1. Obecnie Portugalia jest trzecim krajem OECD pod względem stosowania leków antydepresyjnych.

Niestety w tym zestawieniu nie ma Polski. Możemy być jednak pewni, że w naszym kraju wyglądałoby to podobnie. Wystarczy zerknąć na Słowację, która ze wszystkich krajów OECD przyjęła najbliższy nam model gospodarki – kapitalizm zależny, półperyferyjny i oparty o niskie koszty produkcji. Słowacki wskaźnik przyjmowania leków na depresję wzrósł... prawie pięciokrotnie – z 8,6 do 40. Zresztą mniejszy lub większy wzrost widać we wszystkich wykazanych krajach, zarówno mniej, jak i bardziej zamożnych. Średnia OECD wzrosła dwukrotnie – z 30,6 do 60,3.

Oczywiście za ten wzrost odpowiadają także czynniki pozytywne. Przede wszystkim większa świadomość społeczeństwa – obecnie ludzie mniej wstydzą się iść do psychiatry. Kiedyś woleli dusić w sobie fatalne samopoczucie, teraz decyzja o leczeniu jest podejmowana częściej. Leczenie psychiatryczne nie jest już objęte tak dużą infamią, jak jeszcze niedawno, chociażby z tego powodu, że stało się doświadczeniem coraz większej części z nas. Poza tym ważne jest też pojawienie się leków antydepresyjnych nowej generacji. Są one bezpieczniejsze, nie uzależniają tak, jak chociażby benzodiazepiny (np. Xanax), więc psychiatrzy mają mniejsze opory przed ich wypisywaniem. W zasadzie za cały wzrost stosowania antydepresantów odpowiadają leki nowej generacji. Trudno jednak uznać, że ludzie bez przyczyny rzucili się na nie. Osoba zdrowa, która przyjmie lek np. wychytujący zwrotnie serotoninę, będzie się czuła fatalnie. Nie będzie wiedziała, co ze sobą zrobić, nie będzie się w stanie skoncentrować na żadnym zadaniu. Oba czynniki są więc istotne, jednak nie wygenerowałyby tak dużego wzrostu przyjmowania leków, gdyby nie miały realnej podstawy, jaką jest bardzo duża liczba osób cierpiących na przypadłości psychiczne.

Stojąc nad przepaścią

Ten drastyczny wzrost przypadków stosowania leków antydepresyjnych niestety nie obniżył liczby samobójstw. Są

one nadal jedną z częstszych przyczyn śmierci. Ludzie dwukrotnie częściej sami się zabijają, niż giną w wypadkach komunikacyjnych wszelkiego rodzaju. Wskaźnik samobójstw (liczba samobójstw rocznie na 100 tys. mieszkańców) w latach 2000-2015 w całej UE spadł nieznacznie – z 12,9 do 11,7 (wskaźnik ofiar transportowych to 5,8). Jednak to wynik przede wszystkim bardzo dużych spadków w krajach należących niegdyś do ZSRR, w których ten wskaźnik był na gigantycznym poziomie. Przykładowo na Litwie spadł on z 46,5 do 31, a więc wciąż jest trzykrotnie wyższy niż unijna średnia. Na Łotwie spadł 32,5 do 22. Jednak w pozostałych krajach utrzymał się na stabilnym, wysokim poziomie, który sprawia, że samobójstwa to jedna z ważniejszych przyczyn śmierci. Jednak jest też grupa krajów, w których wskaźnik samobójstw wzrósł. To kraje południa Europy (w Portugalii dwukrotnie, z 5,1 do 10), ale też Polska. Nad Wisłą wskaźnik samobójstw wzrósł z 15,3 do niemal 17, co sprawia, że pod tym niechlubnym względem wyprzedzamy średnią UE o połowę.

Według oficjalnych danych 7 proc. populacji UE cierpi na chroniczną depresję. Trudno powiedzieć, ile osób cierpi na zaburzenia lękowe uogólnione, prawdopodobnie bardziej powszechne. Zresztą te dane dla wielu krajów wydają się wątpliwe i są zaniżone z powodu wciąż niskiej świadomości tego, czym jest depresja czy lęki. Na przykład w Polsce czy na Słowacji według oficjalnych danych zaledwie 4 proc. społeczeństwa cierpi na depresję, co sprawia, że na papierze są pod tym względem jednymi z najzdrowszych społeczeństw w UE. Jak to pogodzić z bardzo wysokimi wskaźnikami samobójstw, które w obu krajach przekraczają średnią UE o połowę? W krajach północy, w których wskaźnik samobójstw jest podobny do polskiego, ale świadomość znaczenia depresji wyższa, cierpi na nią ok. 10 proc. społeczeństwa. Możemy więc założyć, że na chroniczną depresję cierpi nawet co dziesiąty Polak lub Polka. Tylko że jakaś połowa z nich nie potrafi tego nazwać.

Tymczasem opieka psychiatryczna w Polsce jest na bardzo słabym

poziomie. Nad Wisłą leczy zaledwie 9 psychiatrów na 100 tys. mieszkańców. Wyprzedzamy jedynie Bułgarię. W Finlandii, Szwecji i Holandii na sto tysięcy mieszkańców przypada aż 23 psychiatrów, a w Czechach prawie 15. W liczbie łóżek na oddziałach psychiatrycznych nie wypadamy aż tak źle (ok. 70 na 100 tys. mieszkańców – nieco poniżej średniej UE), jednak akurat w przypadku depresji czy lęków uogólnionych łóżko szpitalne zda się na bardzo niewiele. Do walki z tymi chorobami potrzebny jest szeroki dostęp do bezpłatnych psychiatrów. Tymczasem na wizytę u psychiatry z NFZ można czekać w Polsce nawet kilka miesięcy. A przecież wskaźnik samobójstw pokazuje niezbicie, że depresja może być chorobą śmiertelną. Nie można więc zwlekać z jej leczeniem.

Jednak żeby zatrzymać pochod depresji i samobójstw przede wszystkim trzeba zmienić podejście do istoty ludzkiej. Odrzucić idiotyczny koncept człowieka-firmy, który rywalizuje z innymi o zasoby. Zmienić narrację płynącą z mediów, według której każdy odpowiada sam za siebie i tylko do siebie może mieć pretensje za niepowodzenie. Problem w tym, jak to zrobić, skoro tę narrację najskuteczniej snuje ta wąska garstka, w której przypadku takie podejście się sprawdziło.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl